TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 40. *Chicago, Ills., 31 Marca, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Była to cała pociecha, gdy cień bladej twarzyczki mógł w oknie oglądać, do domu bowiem wcale go już nie proszono. Wypadek ten zasmucił mocno Leliwę, ale gdy się ma lat dwadzieścia, przeszkody miłość wzmagają. Leliwa miał tę pociechę nad innych, że troski swe w pracy topił i starał się ich zapominać wertując stare księgi. Albertrandi używał go do biblioteki, a że się właśnie poczynał spisywać naówczas zbiór monet i medalów, który Stanisław August gromadził, posługiwał się i do tego panem Janem, który był jego faworytem. Król, jak wiadomo, miał osobliwszą słabość do cudzoziemców; najmniejszy talencik, przybywający z zagranicy, oklaskami i szczególnemi dystynkcyami okrywany był na dworze. W służbie króla tylu było cudzoziemców, ilu się ich tylko pomieścić mogło. Właśnie podtenczas przyjechał z Anglii jakiś jemość, zowiący się Tomaszem Price, przywożąc z sobą piękny zbiór kamieni rzniętych i kameów, który za dosyć przystępną cenę ofiarował na sprzedaż. Poniatowski był zapalonym tych rzeczy miłośnikiem; przez kilka wieczorów u króla admirowano tę daktyliotekę szanowną, czystość rysunku i niezrównane wykonanie. Stanisław August, który na takie rzeczy nie żałował kosztu.... choć nabycie naówczas było dlań trudnem, oświadczył się z chęcią kupienia całego zbioru. Ow pan Tomas Price zniżył cenę akomudując się królowi, a sam, jako wielki znawca i miłośnik medalografii, ofiarował się też zbiory króla poukładać i zająć się ich spisaniem. Albertrandi miał w podróż wyruszyć, przyjęto

Anglika chętnie ... i z wdzięcznością. Price zatrzymał przy sobie do pomocy Janka Leliwę. Wielki ten jednak znawca i uczony, który się umiał sprzedać za antykwarza, jakoś młodemu przewodnikowi po kilku sesyach wydał się raczej zręcznym komedyantem, niż znakomitym erudytem; zdawało się, że tu dopiero uczył się rzeczy, której nie znał, rachując na swą domyślność.

Dośledzono też łatwo, że część dnia ledwie przesiedziawszy w bibliotece, resztę czasu pędził po różnych domach, gdzie się wesoło zabawić było można bez zbytniej ceremonii, a wieczory przy stolikach gry, szczególniej u hrabiny Estelli. Był to człowiek ze wszech miar podejrzany, ale u nas cudzoziemców przyjmowano zawsze z taką weneracyą, że dopiero katastrofa mogła oczy otworzyć.

Układały się kosztowne medale. Część dnia Leliwa pracował z panem Price, część sam spędzał przy szufladkach, w których chronologicznie porządkował przepyszne, zewsząd nadsyłane złote sztuki i niezmiernej rzadkości egzemplarze.... Trwało to dosyć długo podczas niebytności Albertrandego, i Price miał czas zyskać sobie liczne grono przyjaciół, o których hulakom zawsze najłatwiej. Wróciwszy z podróży Albertrandi poszedł do swych ulubionych szufladek, które na pamięć umiał. Uderzyło go to, że porządek był tak zmieniony dziwnie, iż się niczego doszukać nie było podobna.... Niektóre najpiękniejsze okazy.. poznikały.

Pierwszego dnia spytany Anglik, wytłumaczył się, że przyjął do układu systemat całkiem nowy; na drugi dzień przyciśnięty, zdumiewać się począł niesłychanie, gdzie medale podziać się mogły. Sam tedy z Albertrandim przetrząsnął wszystkie szuflady... Ze ścisłego poszukiwania okazało się, iż około sto sztuk monet i portugałów, wartości z górą tysiąca czerwonych złotych, brakło. Kustosz i Anglik osłupieli przerażeni. Zbiór był zamykany starannie, nikt do niego nie chodził... podejrzenie na pana Price paść nawet nie mogło.... Albertrandi nie przypuszczał na chwilę, by sromotnej kradzieży dokonał młody, miły i zacny chłopak, do pomocy używany.... A jednak nie kto inny, tylko on jeden mógł być winnym. Anglik zrazu go bronił gorąco, uległ w końcu przykrej rzeczywistości.

— Na miłość Boga — szepnął — potrzeba ostrożności nadzwyczajnej. Chłopiec mógł to popełnić przez płochość.... za cóż go gubić na całe życie? Należy się wprzód zresztą przekonać.... bo Leliwa nie wygląda na to, by mógł się tego dopuścić.

Zgodzono się, by nikomu nie mówić, nie robić wrzawy i rozgłosu; Price był za tem. Rozeszli się a biedny kustosz zgryziony, zrozpaczony, dopatrzywszy godziny jakiejś, gdy Janka nie było, bo go z listem król wysłał, wszedł do jego mieszkania, aby zarządzić poszukiwanie.. W alkowie przy łóżku, na stoliku, znalazł jakby umyślnie porozrzucane papierki, w które zgubione medale pozawijane były i między nimi parę sztuk, jakby w pospiechu zapomnianych.

Straszliwy ten dowód winy młodego człowieka tak przygnębił zrazu uczonego, iż padł na sofę i potrzebował długiego czasu, nim przyszedł do siebie.... Należało niezwłocznie zabrawszy corpus delicti pójść wyznać królowi wszystko i żądać jego rozkazów. Był wieczór, i właśnie Stanisław August wyjechał do pani Krakowskiej, Albertrandi więc musiał zgryziony, kryjąc w sobie smutek, czekać jego powrotu.

Nazajutrz podziwienie wszystkich było wielkie, gdy się z cichych szeptów dowiedziano, iż w nocy, z niewiadomych powodów Jan Leliwa został aresztowany i uwięziony z rozkazu króla nie wiadomo gdzie.. Zakazano rozgłaszać tę wiadomość, ażeby cały oddział paziów i sława dworzan królewskich na tem nie cierpiały, ale mimo to z ust do ust poszła nieszczęśliwa wieść po całem mieście. Price przyniósł ją pierwszy do hr. Estelli i szepnął w ucho Podskarbicowi, który okazał nadzwyczajne wzruszenie. Pierwszy to raz los zdawał się mu być przyjaznym.... Price nie wyjawił powodu, lecz dał tylko do zrozumienia, że wina była ciężka i tak sromotna, że rehabilitacyi nie dopuszczała, a tak jawna i dowiedziona, że omyłka i oczyszczenie było niepodobieństwem.

Dowiedziała się tegoż wieczora pod wielkim sekretem o tem hrabina Estella, i znając stosunki wszelkie, z jak największym pospie-

chem nazajutrz rano pojechała do pisarzowej. Starej wszetecznicy została z przeszłości miasto żywego dowcipu nielitościwa złośliwość. Szczególnie lubiła się mścić na młodych i szczęśliwych. Dawało jej to chwilę jakiejś drastycznej rozkoszy, którą się nasycała chciwie.

Odwiedziny ranne osoby, która niezbyt często u niej bywała, zdumiały nieco panią pisarzowę; domyśliła się znając osobę, iż pewnie ze złośliwą i skandaliczną przybyła plotką, a że Ewunia była w pokoju, skinęła chcąc ją odprawić. Hrabina jednak rzuciwszy się ściskać dziewczynę, którą zwała faworytką swoją, nie dała jej odejść.

— Ja tu tylko chwileczkę zabawię, chciałam się dowiedzieć po drodze o zdrowie wasze — odezwała się. — Coś mi Ewunia blada, i pani zmizerniałaś.

— Bom do tego życia miejskiego waszego nie nawykła — rzekła Litwinka — Warszawa mnie męczy, ja sobie prosta jestem wieśniaczka i gospodarstwo moje lubię najlepiej.

— Ja zawsze mówię, że to nie ma jak wieś — dodała hrabina — ludzie się w mieście psują... tyle okazyi do złego! tyle pokus.... A, a propos — szepnęła — wiecie historyę Leliwy? królewskiego pazia? Wszak to, czy się tylko nie mylę (wiedziała doskonale co mówiła), czy się nie mylę, podobno ten, co którąś z panien tak mężnie uratował...

— A! cóż mu się stało! — krzyknęła pisarzowa.

Hrabina z ukosa rzuciła wejrzenie na Ewunię, która jak ściana zbladła....

— Doprawdy, nie wiem dokładnie — dodała hrabina — ale mówią, że popełnił jakąś okrutną zbrodnię, bo go, co u nas się nie trafia.. Król kazał sekretnie uwięzić i zamknąć, nie wiedzieć gdzie..

— Zbrodnię! — krzyknęła Ewunia nie mogąc się powstrzymać — on! zbrodnię? a! to nie może być! — Tych słów domawiając biedne dziewczę, padło zemdlone. Matka pobiegła ratować, przyleciała i hrabina rozpaczając się nad biednem dziecięciem.... i przepraszając, że mimowolnie była powodem tak smutnego wypadku.

— Ale mogłażem się domyśleć, iż chłopiec Ewunię waszą tak obchodzi....

Pisarzowa płakała, dom cały zbiegł się, zaklęto hrabinę, aby o tem nie mówiła nikomu, i stara żmija wyjechała łzy zostawiając za sobą, z uczuciem radości z tak zręcznie wypłatanego figla.

Zaledwie po kilku minutach zdołano się Ewuni docucić; otwarła oczy biedna i z płaczem rzuciła się matce na szyję, słowa nie mogąc wymówić. W tej chwili wszystkie inne względy ustąpiły przed macierzyńską troskliwością o życie i zdrowie dziecięcia. Pisarzowa kazała natychmiast karetę podać i pojechała do zamku. Król zajęty był ambasadorem i przyjąć nie mógł, lecz uparta Litwinka siadła czekać na odjazd posła, kazała powiedzieć kuzynkowi, że widzieć się z nim musi, i wysiedziawszy dobrą godzinę, została przypuszczona przed pańskie oblicze.

Zapłakane oczy pisarzowej dozwalały się domyślać, że ją jakaś boleść dotknęła.....

— Co się stało waćpani? czy uchowaj Boże co w familii....

— Nic, N. panie — zawołała kuzynka — przybiegłam tylko dowiedzieć się. Rozpuszczono wieść po mieście o jakimś występku popełnionym przez Leliwę tego, który mi córkę uratował. Moja Ewunia omdlała, życie jej zagrożone...

Król mocno spospępniał i zachmurzył się.

— Co to jest N. panie, czy w istocie....

— Proszę tego nie rozgłaszać — odezwał się Poniatowski — rzecz wielce dla mnie nieprzyjemna...

— Czyż może być co tak ważnego?...

— Ważnego, bolesnego, przykrego — rzekł król — chłopiec zgubiony...

Pisarzowa ręce załamała.

— Chłopak tak zacny, tak uczciwy....

— Tak niepojęty hipokryta — przerwał Stanisław August. — Nie, nie mówmy już o tem — dodał — wracaj waćpani do domu... i niech imię jego więcej wspomnianem nie będzie. Radbym zapomnieć, iż podobna istota.. znajdowała się na moim dworze...

— Lecz cóż to być może?

— Proszę mnie nie pytać, rzućmy zasłonę na te brudy i szkaradę — zakończył król, — próżnobyś się waćpani łudziła nadzieją, to człowiek zgubiony....

Wróciwszy do domu, pisarzowa zamknęła drzwi wszystkim i płakała. Posłano po doktora dla Ewuni, która leżała w gorączce.

Nazajutrz, jeszcze ksiądz kustosz biblioteki królewskiej był w swem mieszkaniu na dole, gdy oparłszy się chłopcu, który puszczać nie chciał, mężczyzna już w wieku, nakuliwający na nogę, gwałtem się wdarł do pokoju uczonego. Albertrandi podniósł głowę na szelest i zdziwił się, widząc z tą poufałością wdzierającą się postać sobie nieznaną zupełnie, człowieka, jak z ubioru wnosić było można, należącego do klasy średniej, z twarzą pospolitą, ogorzałą, o brwiach nawisłych, i widocznie w tej chwili jakiemś gwałtownem wzruszeniem zburzoną.

Niech mi ks. prałat daruje — zawołał wchodząc — w takich razach, gdy o życie i honor idzie, ceremonii się nie czyni....

— O życie! na rany pańskie, o czyjeż życie? — zawołał Albertrandi.

— Gorzej niż o życie, bo o honor! o honor niewinnego chłopaka. Na Boga, ks. prałacie, co się stało z Janem Leliwą? Ja jestem jego... opiekunem...

Prałat spuścił oczy i ręką machnął rozpaczliwie.

— Waćpan jesteś jego opiekunem — powtórzył — lituję się nad panem...

— Ale cóż zawinił? — co mógł zawinić!... Ja tego chłopca znam do głębi duszy, niepodobieństwem jest, ażeby się mógł dopuścić winy jakiejś, zasługującej na tak nadzwyczajną surowość. Przysięgam prałatowi! to niepodobieństwo, to rzecz niemożliwa...

To mówiąc ręce złożył i jęknął. — Mógł jako młody popełnić płochość jakąś.. mógł przekroczyć w czemś zakaz... ale...

— Ale.. kochany mój panie — rzekł prałat. — Waćpan się domyślasz, a my, my mamy smutne, dotykalne dowody występku....

— Występku! na rany Boże! powiedźcież mi, co popełnił! Ja na widziane i na niewidziane przysięgam, że to potwarz, złość, zawiść lub intryga, która usiłuje zgubić niewinnego.

Prałat wyszedł ku drzwiom, chłopcu zakazał puszczać kogokolwiek bądź i zbliżył się do przybyłego.

— Radbym — odezwał się — oszczędzić panu boleści, radbym zataić tę sromotę, lecz wreszcie znaglony, zmuszony, wyjawić wszystko muszę. Nie czynimy rozgłosu, rzecz pozostanie tajemnicą, ale wypadek jest okropny!

Starzec otarł pot z czoła i łzy z oczów razem, płakał....

— Uspokój się pan... co się stało, nieodwołalne... kończył Albertrandi. — Rzecz się tak ma. Wszyscyśmy go kochali, i wszyscyśmy się doń przywiązali; ja golubiłem jak własne dziecię! Mieliśmy w nim nieograniczone zaufanie.. Zawiódł je! zawiódł niegodziwie i nikczemnie.. Użyłem go, dając mu klucze, do układania medalów królewskiego zbioru.. skorzystał z mej niebytności i popełnił kradzież ogromą....

Stary oczy wyszczerzył, osłupiał, pomyślał, usta mu się skrzywiły, i dziko śmiać się począł.

— On!! on! popełnił kradzież! on! zawołał — to jest proste niepodobieństwo, to jakaś najnikczemniejsza w świecie intryga.

— Ale, mój panie — począł prałat — kiedyśmy część monet i papiery od nich u niego w mieszkaniu znaleźli... c o r p u s d e l i c t i.. ja sam.... ja memi rękami je u jego łóżka zebrałem.

Stary ręce załamał, ale w prędce odzyskał przytomność.

— Gdybyś ksiądz prałat sto razy mi to powiedział — ofuknął się — powtórzę, nie może być, nie może być, nie może być! Pytaliście jego?

Albertrandi zmieszał się.

— Pytano go, zapiera się, płacze, rozpacza — rzekł — ale cóż to znaczy przeciwko oczywistości....

Stary kroków kilka cofnął się zachmurzony.

— Nie powiem nic więcej, Bóg próby straszne zsyła na ludzi... jest to wypadek niezrozumiały.. a mimo to zaręczam i przysięgam, on się okaże niewinnym, a ci, co tak lekkomyślnie.....

— Jakto lekkomyślnie? Możesz to pan nazwać lekkomyślnością? — zapytał Albertrandi....

— Człowiek się nie zmienia w jednej chwili, ja go znam od dziecka... tam był ktoś inny.. co nań chciał rzucić swą winę..

— Nikogo nie było — odparł ksiądz — jeden tylko cudzoziemiec uczony, człek szlachetny, którego nawet posądzić się nie godzi.

— A młodego chłopca godzi się posądzać? — spytał ironicznie stary...

— Przecież są dowody...

— Rozpatrzcie się w nich....

— Możesz pan być pewnym, iż sprawa ta z całą rozwagą i zastanowieniem osądzoną zostanie...

— Sądźcie, sądźcie, ale i na sąd Boży pomnijcie — zawołał stary — — pomnijcie i na to, że plama na honorze się nie zmywa... że żadne zadośćuczynienie jej nie odpłaci... że gdy niewinnego uwolnicie, w lat dziesięć ci co nie znają rzeczy, bluźnią w oczy jakąś nierozjaśnioną sprawą sromotną.

Albertrandi zdawał się mocno poruszony.

— Uspokój się pan — rzekł kładąc rękę na jego ramieniu — pojmuję ojcowską jego boleść. Król jest sprawiedliwy, ale serca litościwszego nadeń, nie ma nikt. Oszczędzim sromoty rodzinie i jemu, sprawa się stłumi zamilczy...

— Ja nie wiem, ja nic nie wiem, ja wiem jedno, że on musi być niewinnym. Ojcze mój — tu schylił się chcąc w rękę całować prałata, który się cofnął — zaklinam was na pamięć matki, na rany pańskie.. pozwólcie mi się z nim widzieć... mówić...

— To być nie może i odemnie to nie zależy — odparł Albertrandi. — Znaleziono u niego kilka monet skradzionych, ale cała ich masa znikła: musi powiedzieć, co zrobił z niemi... Indagują go, przyznać się nie chce, a dopóki szkoda nie będzie odzyskaną, nikt się z nim widzieć nie może.

Stary załamał ręce.

— Ileż ta szkoda wynosi? — zapytał.

— Przeszło tysiąc czerwonych złotych — rzekł prałat.

— Ja składam jako kaucyę te pieniądze — — odparł gorąco starzec — a dajcie mi go widzieć! dajcie mi pomówić z nim.

— Powtarzam wam, to nie zależy odemnie....

Kulawy mężczyzna sparł się na kiju, odstąpił nieco, pokorna postawa jego zaczęła nabierać wyrazu jakiejś obojętności i pogardy. — Czyńcież, co wam sumienie dyktuje — rzekł szydersko.. gubcie powierzone wam dziecko.. jeźli wam to nie cięży na sumieniu. Bóg niech wam przebaczy... Biada tym, co dziecko myśląc ocalić w tę waszą odchłań rzucili...

Mówiąc to, chciał niepokłoniwszy się odchodzić, gdy oburącz pochwycił go Albertrandi.

— Ale na Boga, rozżalony człowiecze, cóż było zrobić? — zawołał.

— Co było zrobić? — krzyknął zmarszczony starzec. — Przybłęda jakiś, włóczęga obcy razem z Leliwą miał powierzone klucze... nie znaliście go może jak od kilku tygodni, a choćby miesięcy, i wolicie kradzież złożyć na szlachetnego młodzieńca, niż śledzić tego awanturnika, który mógł złodziejstwo popełnić...

— Co waćpan mówisz? co mówisz! Ależ dowody?

Kulawy strząsnął się, głowę odwrócił i odszedł milczący. Ostatnie jego wyrazy wszakże pewne wrażenie uczyniły na kustoszu... zamyślił się.

Wieczorem były pokoje u króla... Stanisław August grał partyę z ambasadorem i dwoma dygnitarzami, gdy nadszedł rezydent angielski... i okoliwszy stół tak, ażeby na oku królowi stanąć, pozdrowił go. Poniatowski rękę wyciągnął.... Nie pora była do rozmowy; dyplomata tylko zdala wydobywszy z za kamizelki papier w kształcie listu złożony, ukazał go królowi, dając znać, że ma mu coś do powiedzenia. Gra wszakże trwała dosyć długo, a gdy oznajmiono wieczerzę, której król nie jadał, rezydent zbliżył się do niego.

— Miałeś mi pan coś do powiedzenia? — spytał Stanisław August.

— Tak jest, Naj. panie, ale to rzecz natury nienaglącej.... prywatna, choć może nie bez pewnej wagi..

— Mamy pójść do mojego gabinetu?

— A! nie, o politykę nie idzie, nie obawiam się, by nas podsłuchano. WKMość miałeś czy masz we dworze człowieka, który się zowie Tomas Price i jest Anglikiem?

Król bardzo uderzony podniósł oczy.

— Tak — rzekł — sprzedał mi zbiór kameów, a że jest wcale uczonym starożytnikiem i medalografem, użyłem go... do porządkowania mojego gabinetu...

— A! — uśmiechnął się rezydent — to wybór szczęśliwy! Z wielkim smutkiem ostrzedz muszę WKMość, iż to jest oszust najgorszego rodzaju, rodem z Hamburga, zowiący się w istocie Mueller, który długi czas mieszkał w Anglii,

okradł zbiór Lorda Spencer, przy którym był konserwatorem, co dopiero po jego wyjeździe niby dla zakupna do Włoch dostrzeżono. Ścigają go listy gończe.

Król pobladł, westchnął, załamał ręce... spuścił głowę.

— A, kochany panie, nie uwierzysz — zawołał — jak w porę mi z tą wiadomością przybywasz! Czy mówiłeś już o tem komu..

— Żywej duszy...

— Może potrafimy go schwycić jeszcze i oddać w ręce sprawiedliwości! Wystaw sobie, że i u mnie na przeszło tysiąc dukatów jest szkody w zbiorach, a winę na szlachetnego, niewinnego, jak się zdaje rzucono młodzieńca... którego uwięzić kazałem.. Lękam się, by ów Price, obawiając się odkrycia prawdy, nie uszedł.

Szczęściem ujrzał król jenerała Byszewskiego nieopodal, skinął nań i coś mu szepnął na ucho, poczem twarz pańska się wypogodziła. W kilka minut jenerał znikł z pokojów.... Król pożegnał swych gości wcześnie i wszedł do gabinetu.. Wezwano doń ks. Albertrandego.... który wprędce się stawił. Zobaczywszy go w progu, Poniatowski zerwał się z krzesła i podał mu papier do przeczytania.

— Na, masz, czytaj i sądź.

W miarę, jak ks. Albertrandi podane pismo decyfrował przy świecy, zdumienie malowało się na jego twarzy.... Wypadło mu wreszcie z rąk.... które załamał.

— N. panie! to jego sprawa! dzięki Bogu... chłopak mój niewinny....

— Czekaj, milcz... jutro wyjaśni się wszystko.... podziękujemy Bogu.... Mniejsza o stratę.... choć zaprawdę — westchnął — drugiego w złocie smoleńskiego medalu mieć nie będę! Poczciwe chłopię ocalone.... honor narodu.... Ja zawsze miałem wstręt jakiś do tego człowieka.... czułem w nim awanturnika....

Ks. Albertrandi się uśmiechnął; nie chciał przeczyć królowi JMości, ale na prawdę Poniatowski tego wstrętu nigdy nie okazał.. urodził się on dopiero przed godziną.

U hrabiny Estelli tegoż wieczora gra była nadzwyczaj ożywiona; kilka pań nawet zawzięcie stawiły złoto, nie obawiając się niem powalać pięknych paluszków; pan Podskarbic bank trzymał. Uśmiechały mu się twarzyczki grających kilku bogiń, zmarszczonym uśmiechem odpowiadał na ich wdzięczenie, ale tak jakoś nieszczęśliwie wypadało, iż wszystkie przegrywały. Jednym z najzawziętszych graczów był siedzący przy stole Anglik, p. Tomas Price, który sobie teraz dawał tytuł Daktyliothekarza JKMości.. Szczęście wszakże nawet na ten szumnobrzmiący tytuł jego nie miało względu, przegrywał bowiem okrutnie, a im więcej chłonął bank, tem zawzięciej stawki podwajał.... Podskarbic i dla niego miał wdzięczne uśmiechy, mało wszakże pocieszyć go zdolne.. Zachmurzony wstał kilkakroć od stołu, przeszedł się po pokoju, namyślił nieco, szukał po kieszeniach, i na garść zebrawszy kilkanaście sztuk złota, dobytego z kamizelek i rozmaitych kryjówek sukni, miał stawiać na nowo, gdy w progu ukazał się niespodziany, nie bywały tu gość, jenerał Byszewski.. Gospodyni przyjęła go tem uprzejmiej, im mniej był poufale znajomym, ale zaraz w przywitaniu kilka słów cichych, wyrzeczonych przez niego, niezmiernie ją zmieszało. Jenerał siadł na chwilę przy niej, nie spuszczając z oka Anglika.. a gdy gra miała się zaczynać nanowo, przystąpił do stołu.... Właśnie Price, ważąc pieniądze na ręku, miał je już rzucić, gdy ukośnem spojrzeniem ujrzawszy portugały złote... Byszewski zbliżył się do Anglika..

— Za pozwoleniem — rzekł — gra nie uciecze.... mam kilka pilnych słów do pomówienia z panem....

Price jeszcze jakoś nic się nie domyślając, podniósł głowę.... Jenerał wziął go pod rękę....

— Chodźmy do przedpokoju...

Wyszli, drzwi się zamknęły.. Gospodyni blada i pomieszana siedziała na kanapie; Podskarbic czekał z ciągnieniem na Anglika.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

zupełnie nowo i treściwie ułożony.

(Ciąg dalszy.)

Należało bowiem do około za usypanem wałem wykopać rów tak szeroki i głęboki, aby przez niego nie można było przeskoczyć ani przejść, — przy znacznej liczbie oblegających nie było i to dostateczne, gdyż rzucony na prędce most mógł z łatwością przeprowadzić na wał, — a wtedy rzecz skończona. — Postanowił za wałem, brzegiem otoczyć swoje terytoryum palami wysokimi ostro zakończonymi, które głęboko i gęsto przy sobie powbijane, dzielnie broniły wstępu do fortecy. Nim się zatem mógł dostać nieprzyjaciel do fosy, częstokołu i wału, — mógł być z łatwością pokonany, chociażby liczba jego była bardzo znaczna.

Cały ten plan chciał Robinson opowiedzieć i wyłożyć Piątaszkowi, — aby go zrozumiał, i w wykonaniu roboty mógł dopomódz — przedstawiało to nader wiele trudności. Ale czego chęć i szczera wola nie dokaże? — Chociaż przez mowę było niepodobieństwem zrozumienia się wzajemnie; dopóty machali z sobą rękami, wykrzywiali się, skakali, chodzili i migami gestykulowali, aż wreszcie zrozumiawszy się dobrze, rozpoczęli ochoczo robotę. — Piątaszek udał się zaraz na wybrzeże, aby tam wyszukać, wielkich muszli, ostrych kamieni, słowem tego, coby mogło być przydatne. — To uczyniwszy, nie zwlekając od rana do późna w wieczór fortyfikowali swoją siedzibę.

Robota widocznie z każdem dniem postępowała; dzięki ochocie i wytrwałości pracujących. Piątaszek z nierówną szybkością i zręcznością wykonywał wszelkie prace, i nie wiele mu stawiało trudności brak odpowiednich narzędzi. — On wolał doły kopać rękami jak muszlą, gałęzie z drzew prędzej obcinał zębami jak Robinson swą kamienną siekierą.

Silnym bodźcem w tem zatrudnieniu było zarazem i ciągłe spodziewanie się napadu ze strony dzikich, — ale dzięki przeciwnemu prądowi wiatru, blizko przez dwa miesiące nikt nie był w stanie wylądować na wyspę. Tego właśnie czasu potrzebowali nasi robotnicy do zupełnego wykanania swego planu. — Przy tem zatrudnieniu nastręczała się prawie ciągle sposobność rozmawiania się z sobą. Skorzystał z tego Robinson nie zaniedbując Piątaszka uczyć mowy swym językiem, czego też przy jego bystrem pojęciu i dobrej pamięci z niewielką trudnością dokazał. Piątaszek bowiem wszystko z uwagą i pojętnością chwytał, z całą ochotą wykonywał wszystko, co tylko miał polecone, starał się nawet myśli swego pana odgadywać.

Skończywszy całe oszańcowanie swej zaimprowizowanej fortecy którą zamieszkiwał, odetchnął swobodniej, i mógł już spokojnie spać nieobawiając się nikogo.

Razu jednego siedząc Robinson, słuchał śmiesznych opowiadań Piątaszka, — i gdy ten zaczął o morzu mówić, przypomniał sobie ową łódkę, nad którą od kilku lat ślęcząc, nie ukończył. Zapytał się zatem swego towarzysza, widząc dzikich bardzo zręcznie wyrabiane czół-

na, jakim sposobem bez narzędzi potrafią takowe zrobić? — Tu mu dopiero objaśnił Piątaszek, że oni takie czółna w bardzo krótkim czasie za pomocą ognia wydrążają.

A gdy przypatrzył się robocie Robinsona i usłyszał wiele to lat pracy kosztowało, objąwszy głowę rękami szczerze począł się śmiać, twierdząc że tysiące podobnych łodzi w tym czasie można było daleko lepiej wyżłobić.

Robinson nie wiedział jak wyrazić swą radość, i śmiał się też z Piątaszkiem ze siebie. On już w swej imaginacyi żaglował po morzu, opuszczając bezludną wyspę — już witał się z swymi rodakami. Uradzili zatem jednozgodnie, aby zaraz nazajutrz, z rana wziąść się do roboty tej łódki i ukończyć ją.

Podczas tego zajęcia, postanowił Robinson swego dzikiego towarzysza obznajmić z zasadami religii, objawić mu prawdy chrześciańskie, prawa Bozkie i t. d.

Uczył go zatem o Bogu, że jest Istota niepojęta, bez początku i bez końca, niewidzialna, że jest Stwórcą wszystkiego co go otacza, Istotą wszechwiedzącą i nieskończenie dobrą, która wszystkiemi istotami choćby najmniejszym robaczkiem troskliwie opiekuje się, — wie o każdego potrzebie, wie nawet myśli człowieka, — a będąc sprawiedliwym za dobre nagradza, a złe karze; i tego z pewnością nagrodzi szczęściem wiecznem, który w tem życiu z całego serca jest Mu oddany, i ma czyste sumienie i t. d. Modlitwę wymawiał głośno, polecając Piątaszkowi za nim powtarzać, i to czynił dopóty, dopóki go takowej na pamięć nie nauczył. — O z jakąż radością widział, że jego nauka nie było bezowocną, z wielkiem rozrzewnieniem spoglądał na swego towarzysza rzewnie i szczerze modlącego się. W ten sposób żyli obadwaj szczęśliwie o tyle, o ile takim być może człowiek oddalony od całego społeczeństwa. — W miesiąc niespełna czółno było już ukończone z wszystkimi przyborami, a mianowicie z rudłem, wiosłami i żaglami, które splecione były z kóry drzewowej. Do spuszczenia na wodę, musieli oczekiwać na przypływ morza, a kiedy to nastąpiło, z radością przekonani zostali, że łódka dobrze zrobiona równo na wodzie osiadła.

Jednego dnia przy śniadaniu zapytał Robinson towarzysza: Czy jesteś zdecydowany przepędzić ze mną na tej wyspie całe twe życie?.... Piątaszek dał potwierdzającą odpowiedź, dodał tylko z westchnieniem: o żeby jeszcze mój ojciec tu był!... To masz ojca? zapytał dalej Robinson. „Mam” odrzekł, „jeśli tylko do tych czas nie umarł.” — I przy tych wyrazach rzewne łzy potoczyły mu się po policzkach. Robinson pomyślał o swoich rodzicach, i uczuł także cisnące się łzy do swych ócz.

Po chwili odezwał się: Bądź dobrej myśli Piątaszku, — twój ojciec zapewnie jeszcze żyje, a jeżeli to jest, więc z wolą Boga możemy kiedykolwiek do niego dostać się, i do nas tutaj zabrać.

Piątaszek był przepełniony rodością, skoczył w górę, padł przed Robinsonem na kolana, i łkając nie mógł ani jednego słowa wymówić. Robinson zapewnił go, że nazajutrz zaraz udadzą się na wyspę po ojca, i począł natychmiast czynić przygotowanie do drogi. — Jedna myśl tylko niepokoiła go. Jeżeli krajowcy Piątaszka, do których udać się zamyśla okażą się jako nieprzyjacioły?.... jeżeli rzucą się na jego osobę — w tedy i on stanie się ofiarą tych barbarzyńców.

Nie mógł się wreszcie wstrzymać od objawienia swemu przyjacielowi tej obawy. Ale Piątaszek przekonał go, że nie ma się czego obawiać, — on zna swoich krajowców jako ludzi dobrych i wie, że oni nietylko onemu, ale też nikomu żadnej krzywdy nie zrobią, a wszyscy są jego przyjaciołmi. Robinson zdał się na szlachetność wiernego towarzysza i dalej przygotowywał się do podróży. Nabrali żywności na 8 dni i uradzili następnego dnia w Imię Boga ruszyć.

XV.

Zaledwie przez jedną godzinę mogli Robinson i Piątaszek przespać, gdy przez gwałtowny wicher obudzeni zostali. — Burza była straszna, pioruny biły ustawicznie, aż ziemia drzała. Niezadługo usłyszeli huk — jakby z wystrzału armatniego pochodzący. Scisnęło się serce Robinsonowi, bo poznał, że niezawodnie gdzieś w pobliżu okręt znajduje się w niebezpieczeństwie

— i odgłosem armatnim wzywa pomocy. Ale burza nie ustawała, wiatr dął nadzwyczaj przeraźliwie, deszcz lał jak z cebra, — a pioruny raz po raz trzaskające — głuszyły strzały armatnie wzywające ratunku, które coraz to oddalały się, głos ich słabł, wreszcie nic nie było już słychać tylko bicie piorunów i wycie wichru.

To jednak nie wybiło z głowy marzenia, któremu Robinson oddawał się do rana. Był przekonany, że okręt musiał być bardzo blizko, że się wyratuje, zbliży do wyspy, zabierze go i odwiezie do ojczyzny wraz z nieodstępnym Piątaszkiem.

Ze świtem wiatr począł się uspokajać, czego nasi wyspiarze z gorączkową niecierpliwością oczekiwali, aby się przekonać czy w istocie wczorajsze wystrzały pochodziły z okrętu — i czy się takowy znajduje?... „Ale człowiek strzela a Pan Bóg kule nosi;" — jak mówi przysłowie. Na wyspie zaraz smutne nastąpiło rozczarowanie. Spostrzegli, że ich czółno, nad którego zbudowaniem tyle pracy i trudu ponieśli, tyle czasu strawili — burza oderwała od brzegu i w morze uniosła. Stratę tę Piątaszek głęboko uczuł, a Robinsona nic nie mogło pocieszyć — spoglądał ciągle wyprężonemi oczami na morze, czy gdzie go nie dojrzy — ale nadaremnie — odszukać go nie było sposobu. Znów wytężył wzrok, czy gdzie nie spostrzeże okrętu, — z którego wczoraj strzelano — ale nigdzie ani śladu. — Uwierzył wreszcie, — że huk w czasie burzy nie był czem innem, jak odgłosem grzmotu piorunowego.

Zawiedzeni w nadziei — powrócili smutno do domu. Ponieważ jednak Robinsonowi ciągle był na myśli okręt, a zjawienie się tegoż było jego jedynem pragnieniem, więc wyszedł na górę, z której miał do koła obszerny widok na morze. — Ale zaledwie stanął na wierzchołku i spojrzał w stronę zachodnią — „Wielki Boże!" zawołał całą piersią do głębi wzruszony — poznał bowiem w chwili; gdy miał już stracić zupełną nadzieję, że domysł wczorajszy był prawdziwy — że nie omylił się w przeczuciu.

Uwidział bowiem wielki okręt w całej okazałości, — mógł nawet nieopodal rozróżnić jego stan, kształt i budowę. — Boże! Boże! zawołał powtórnie — czy to nie sen tylko!... Bez tchu wrócił do swojej fortecy, w mgnieniu oka uzbroił się — i krzyknąwszy na Piątaszka, który stał osłupiały — i przestraszony nie mogąc się domyśleć — jaki przypadek nagły spotkał jego pana i co się z nim dzieje.

„Prędko, prędko!" i puścił się pędem wiatru jakby na skrzydłach. — Dwie mile biegli jak szaleni, wreszcie ledwie dysząc przybyli ku brzegu, gdzie się okręt zatrzymał. — Piątaszkowi oczy w słup od zadziwu stanęły, kiedy zobaczył tak ogromny gmach w morzu, który z niczem nie wiedział porównać, nie widząc nic podobnego.

Robinson nie wiedział z radości od czego zacząć; myślał siąść już na okręt i do Europy odpłynąć. — Wziął się jak najprędzej z swoim przyjacielem do rozpalenia wielkiego ognia, aby mogli go z okrętu dostrzedz. W okamgnieniu kłęby dymu wznosiły się pod obłoki, — oczy wlepił w okręt, oczekując z drzeniem serca łódki którąby z okrętu spuszczona, — przybyła ich zabrać. — Ale nic nie było widać; — i kiedy ogień już od godziny bezskutecznie pali się a nasi dwaj przyjaciele z niecierpliwości odchodzą od zmysłów, Piątaszek na wszystko zdecydowany, postanowił dopłynąć sam do okrętu i dać znać tam będącym o nieszczęśliwym losie, na jaki są skazani, i zażądać pomocy. Od tego odważnego zamiaru starał się Robinson go wstrzymywać, przekładając, żeby się przez to łatwo utraty życia naraził. Ale śmiały Piątaszek zrzucił szybko ubranie, i bez namysłu skoczył w wodę. — Szczęśliwie dostał się do okrętu, wyskoczył na pokład i zawołał:

Hola! — na tem głos nikt się nie odezwał, żywej duszy nie było widać, — biegał, sztukał, wreszcie postanowił udać się na drugą stronę okrętu — ale kiedy tam zwiedziwszy niższe, plądruje po wyższych częściach okrętu, jakieś nadzwyczajne zwierzę którego on w życiu nie widział, zjawiło się przed nim — nabawiając Piątaszka wielkiego strachu. Było ono całe czarne i kudłate, i w chwili gdy się z niem mężny towarzysz naszego rozbitka spotkał, zaczęło wydawać głośny urywany krzyk, który po pierwszy raz w życiu przez Piątaszka był słyszany. Piątaszek już chciał uciekać, ale stworzenie to zamilkło, zbliżając się okazywało radość i przyjaźność do tego stopnia, że ochłonął zupełnie ze strachu, i zaczął swoje poszukiwania dalej prowadzić. Tymczasem owo zwierzę nie odstępowało na krok swego nowego przybysza,

skakało koło niego, łasiło się, wywijając ogonem w tę i ową stronę, i zdawało się żądać pomocy i opieki nad sobą.

Czytelnik poznał zapewne już z tego opisu, że tem zwierzęciem był pudel.

Piątaszek biegał po całym okręcie, po wszystkich kajutach, wołając co raz to głośniej, ale ani śladu żyjącej istoty, wszędzie pustki; zamyślał jeszcze udać się na sam spód, gdy w tem tak silne otrzymał uderzenie z tyłu, że jak długi padł na podłogę; — nie wiedząc zkąd go taki niemiły komplement spotkał, usiłuje powstać, ale tu drugie uderzenie znów go powaliło, — z przestrachem ogląda się, i widzi jakiś potwór z wielkimi wykręconymi rogami, z ogromną brodą szykującą się jeszcze raz powtórzyć swój atak, — na ten widok wrzasnął Piątaszak przeraźliwie, zerwał się i w obłąkaniu prawie rzucił się w morze.

Za Piątaszkiem skoczył i pudel, i trop w trop za nim płynął. — Ten słysząc za sobą pluskanie, w mniemaniu, że goni go to straszydło z rogami, nie mając odwagi obejrzeć się za siebie, przejęty strachem, z tak nadzwyczajną szybkością płynął, że biedne psisko zdążyć nie mogło. W minucie dotarł do brzegu i bez pamięci, bez tchu padł u nóg Robinsona, a za nim niezadługo zjawił się i pudel na lądzie. Długo Robinson musiał czekać na uspokojenie się przestrachem zdjętego towarzysza, nim ten zdołał przyjść do siebie i opowiedzieć całą swoją awanturę — jak całą drewnianą górę, bo tak nazwał okręt, zwiedził, jak napotkał na czarne zwierzę, które przyjaźnie łasiło się do niego, jak potem później wypadł straszny potwór z rogami i z brodą, który chciał zabić go i pożreć, — w końcu że nikogo więcej na drewnianej górze nie mógł odszukać. Poznał z tego opowiadania Robinson, że tym potworem była niezawodnie koza, i że cała załoga unosząc życie podczas burzy, zapewne na łodziach szukała ratunku, zostawiając pusty okręt. Co ja teraz mam czynić? zapytał samego siebie, ludzie którzy opuścili okręt, mogą żyć lub nie żyć, — w każdym jednak razie obowiązkiem jest uratować z okrętu to, co tylko będzie można. Ale jakże mamy się wziąść do tego — kiedy nam czółno na morze powędrowało — ta strata w obecnej chwili jeszcze stała się naszym towarzyszom więcej dotkliwą. Długo suszyli głowę nad sposobem zastąpienia porwanej łodzi, ale nie mogli żadnego wynaleźć. — Nagle wielka myśl błysnęła w głowie Robinsona, zbić na prędce galar i na nim dostać się do upragnionego okrętu. Powiedział zatem Piątaszkowi, aby pobiegł prędko do domu, przyniósł ztamtąd na cały dzień żywności, wszystkie postronki i narzędzia jakie tylko były. — Sam zaś zaraz wziął się do wyszukiwania i rąbania drzew do tego celu.

Już zbliżało się południe kiedy Piątaszek wrócił. Obydwa z całem natężeniem pracowali do północy; a wreszcie osłabieni położyli się spać, i w krótce zasnęli snem tak twardym, z którego zdawało się, że nigdy się nie obudzą.

XVI.

Słońce już dawno rozpuściło swe promienie po ziemi, a robotnicy nasi jeszcze spali jak zabici. Pierwszy przebudzil się Robinson, obudził swego towarzysza aby dokończyć zaczęty galar. — Pokładli oni podwójnym rzędem ściśle przypasowane belki, przywięzując mocno jedną do drugej to postronkami, to cienkiemi giętkiemi witkami, tak, że w końcu stanął galar na 20 łokci długi i tyleż szeroki, który doskonale mógł zastąpić nasze galary.

Spuścili z wielkim trudem na morze, i nie minęło pół godziny, kiedy znaleźli się na miejscu oznaczonem.

Serce biło gwałtownie Robinsonowi, gdy wstąpił na wielki europejski okręt, o mało nie całował z radości ścian jego, tak wielką czuł dla niego wartość; — pochodził on bowiem z jego ojczyzny Europy, tam był zrobiony przez jego rodaków, przez nich był używany, i mieścił ich w sobie. Ale niestety! ci kochani Europejczycy sami go opuścili — może znajdują się teraz na dnie morza. — Nie pozostało zatem nic innego, jak korzystać choć z tej okoliczności, — pozabierać z okrętu wszystko, i obrócić na swoją potrzebę. — W tym celu postanowił Robinson cały okręt przebiedz, a to dla przekonania się, co na nim się znajduje. Udał się najpierw do kajuty kapitana, a ztamtąd na pokład, w końcu w spodnią część okrętu. Tutaj zobaczył tysiące tych rzeczy które z E-

uropy pochodziły, a które dla niego miały nieoszacowaną wartość.

Były tam pełne beczki sucharów, zboża, mąki, ryżu, wina, prochu, kul i szrutu. Dokoła stały armaty, fuzye, pistolety, szpady, pałasze rozmaitego kształtu; dalej topory, siekiery, piły, obcęgi, dłuta, heble, młotki, sztaby żelazne; były także miski, garnki, talerze, łyżki, widelce, drewniane, cynowe i żelazne naczynia kuchenne; stały pełne kufry sukien, bielizny, pończoch, trzewików, butów i niezliczona ilość innych rozmaitych rzeczy. Piątaszek stał osłupiały z zadziwieniem — pierwszy raz dopiero zobaczył takie cuda. Robinson zaś nie był panem siebie, nie wiedział co czynić — płakał z radości, cieszył się i bawił jak małe dziecko wszystkiem co tylko pod oko podpadło. Przeszedł wreszcie na same dno okrętu, ale to całe było zalane wodą, gdyż okręt był przedziurawiony. Niebezpieczeństwo zatem wielkie groziło i chwili nie mieli do stracenia, bo okręt mógł co chwila zatonąć.

Nie tracąc czasu — Robinson przedewszystkiem ułożył sobie w głowie zabrać te rzeczy, które dla niego są najpotrzebniejsze, a mianowicie: proch i szrut — dwie fuzye, pistolety, pałasze i kordelasy — dwa garnitury ubrania, koszule — piłki i inne narzędzia rękodzielnicze, książki, atrament, pióra i papier, krzesiwo i hubkę, suchary — jeden żagel i kozę.

Mimo chodem w kajucie kapitana okrętu spostrzegł całą beczółkę napełnioną złotem i skrzyneczkę dyamentów i różnych kosztowności. Spojrzał na to obojętnie z lekceważeniem, nie myślał brać z sobą, bo te błyskotki na nic się w tej chwili jemu nie przydały.

Wolał on wziąść — kawał wędzonej szynki, suchara, masła i sera i do tego butelkę wina, to wszystko poustawiał na stole w pokoju kapitana i zasiadł z Piątaszkiem do obiadu.

Robinson czuł całą satysfakcyę i przyjemność już dla tego, że mógł jeść porządnie przy stole, nożem i widelcem, ale Piątaszek był całkiem jakby w nie swoim żywiole, będąc nieobeznanym ze sposobem używania noża i widelca. Wziąwszy na widelec kawałek mięsa zamiast do ust, pchał do nosa lub do oka i koniec końcem musiał sobie radzić palcami — z tego powodu Robinson miał bardzo wesoły obiad — śmiał się też z towarzysza do syta. Wina — przyzwyczajony tylko do wody Piątaszek, bał się pić — a spróbowawszy spluwał jak po jakiej miksturze. Za to suchary bardzo mu przypadły do gustu.

Po krótko trwałym wesołym obiedzie, na opakowanym ile możności galarze — odpłynęli nasi podróżni, zdążając ku wyspie — a dobry humor dodawał sił nie dając wcale uczuć trudu wiosłowania — wkrótce też stanęli u brzegu i zaraz wzięli się do przenoszenia swych towarów na ląd.

Piątaszek bardzo był ciekawy, co to są za rzeczy — co one oznaczać mają i do czego służą. Pierwszą czynnością Robinsona było zmienić dawną, niewygodną swą odzież i ubrać się w ubranie — które kapitanowi zabrał. Włożył zatem koszulę i cały kapitański uniform, przypasał do boku szpadę — na głowę wsadził kapelusz stósowany i tak w tem ubraniu przedstawił się oczom Piątaszka. Ten nie poznał na pierwsze wejrzenie swego pana, a nie wiedząc co to za figura nowa zjawia się, już jeden krok zrobił w tył — i chociaż Robinson podał rękę i śmiejąc się przekonał, że jest ten sam jego przyjaciel i towarzysz — to jeszcze w zupełności niełatwo mogący się zoryentować Piątaszek, i tak temu nie dowierzał. Dał mu wreszcie Robinson cały ubiór majtka — pokazał jak go ma kłaść na siebie, polecając mu, aby poszedł za krzak i ubrał się. Piątaszek nie posiadał się z radości, czując na sobie pierwszy raz wdziany — tak wygodny i ładny strój — oglądał siebie na wszystkie strony — śmiał się i skakał — do butów tylko nie czuł pociągu i zdjął je zaraz twierdząc, — że w nich chodzić nie może.

Robinson posłał go do fortecy — aby lamy od dwóch dni nie dojone i nieopatrywane odwiedził — gdy ten odrzedł — nabił jedną z strzelb, chcąc swojemu towarzyszowi sprawić niespodziankę i zarazem obeznać go o własności prochu — a widząc go wracającego — jak na szczęście zoczywszy przelatującego morskiego orła, zmierzył do niego i wypalił — a trafiony orzeł spadł na ziemię.

W tej chwili nadbiegający Piątaszek krzyknąwszy przeraźliwie, padł na ziemię jak długi. Przestraszony Robinson przyskoczył do niego — i kiedy po wielkim trudzie zdołał przywieść mu zmysły, Piątaszek jakby budząc się — rzuca się przed nim na kolana nie mogąc z wiel-

kiego przerażenia słowa wymówić — wznosząc błagalnie ręce i oczy.

Poznał Robinson, że za mało zachował ostrożności w użyciu broni przez towarzysza nieznanej, podnosi go z całą uprzejmością z ziemi, przeprasza go za swą nieostrożność, i zapewnia, że nie ma najmniejszej obawy, że to uczynił nie w zamiarze szkodzenia mu. Pokazywał następnie cały skład strzelby, jej użycie, tłomaczył moc i własność prochu i czynił go uważnym w jakim stopniu oni dzisiaj są zabezpieczeni mając w posiadaniu tę broń.

Niezadługo nastała noc i zakończyła ten radosny dzień.

XVII.

Może nigdy tak słodko nie spał Robinson jak tej nocy. Nigdy może nie czuł się tak szczęśliwym jak teraz. — To też może żaden człowiek tyle nie zanosił modłów dziękczynnych do Boga co on.

Na drugi dzień wstali rano i udali się znów na okręt. Dostali się znów szczęśliwie i Robinson przeszukując rzeczy zabrał ze sobą. Jedną z mniejszych 6ciu armat, żyto i jęczmień, gwoździe i siekiery, — więcej prochu, kul i szrutu — wreszcie złoto i dyamenty. Wziął z sobą także 2 pary taczek — zbywające ubranie i koszule — i co tylko mógł zabrać z narzędzi stolarskich, ślusarskich w ogóle rękodzielniczych — jak niemniej z użytecznych mebli; wszystek papier do pisania jaki tylko w pokoju kapitana znalazł.

Z tem całym pakunkiem odpłynęli i w krótce wysiedli na ląd.

Wieczorem korzystając z pogody, Robinson chciał sprawić sobie uciechę a Piątaszkowi pokazać wartość i znaczenie armaty — nabił kulą i skierował tak, aby strzał padł na powierzchnią wody, — a przezto aby Piątaszek mógł mieć wyobrażenie o jaką odległość kula padnie. — Zapalił lont i pomimo to, że Piątaszek był przygotowany do huku i już znając fuzyę — miał wyobrażenie jakie takie o palnej broni — jednakże przy wystrzale wszystkie członki drzały ze strachu. — Kula skakała chwilę po powierzchni morza a następnie znikła w głębinie, gdzie ją już oko nie dojrzy.

Piątaszek przekonywał — że jego nieprzyjaciele, choćby ich było w liczbie 1000, dosyć aby usłyszeli podobny huk, wszyscy z przestrachu uciekną.

Tak dopływali do okrętu dwaj przyjaciele jeszcze przez 6 dni następnych na swoim galarze, zabierając wszystko co wziąść było można.

Mnóstwo drobnostek dla nich nieużytecznych pozostało, bo wybierali tylko to co mogło się na co im przydać.

Desek sprowadzili tyle na ląd, — że z tych mogli mieć wielki pożytek — zabrali pozostałe 5 armat i wszystko żelaziwo jakie tylko na okręcie znajdowało się.

Pływali sobie tak szczęśliwie do okrętu i napowrót 18 razy i zawsze z wielką pomyślnością dokonali swego. To ich zrobiło mniej ostrożnymi tak, że widząc chmurzące się niebo, mimo to w nadziei że jeszcze dopłyną przed burzą, jeżeliby jaka nastała — odbili do okrętu. Wracając na dobrze obładowanym galarze — gdy w połowie drogi pierwsza błyskawica błysnęła swym przenikliwem blaskiem, za nią grzmot, potem ulewa, — wreszcie wzburzone morze poczęło piętrzyć się — rzucając na wszystkie strony bałwanami, podwajając sił — omijają jak mogą nadchodzące bałwany, ale napróżno. Jeden groźniejszy od swych poprzedników tak natarczywie i niespodzianie rzucił się na galar, że odrazu swym ciężarem pogrążył w głębie morza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

(Dokończenie.)

Zorza północna.

(Opowiadanie starego Kaprala.)

Ale później, kiedy udałem się jeszcze dalej, kiedyśmy się już przeprawili przez rzekę Kołymę, i na mieszkaniu zostałem w Ostrowie Kołymskim, to prawie każdej jasnej nocy widziałem podobne cuda; ale zupełnie inaczej przedstawiały mi się jak pierwej, tu już rzadko widziałem tęcze na niebie w nocy, ale niebo raptem oświecało się milionami białych świecących się promieni, które jak gdyby błyszczące trzciny wyrastały z ziemi, w mgnieniu oka rozrastały się w tysiące gałęzi, gałęzie te jak gdyby z lekka oprószone białym śniegiem rozścielały się po całem niebie, a na nich w tysiącznych miejscach zakwitły pękami bukiety kwiatów nieopisanej piękności, mieniące się najrozmaitszemi kolorami, a jeżeli człowiek wtedy rzucił okiem po lasach rozciągających się u podnóża gór, okrytych wiecznym lodem i śniegiem, teraz całych w płomieniach; jeżeli dalej zobaczył morze a na niem pływające bryły czerwone lodu, mieniące się tysiącami kolorów, wśród których człowiekowi przedstawiają się jakby pobudowane miasta, kościoły, wieże — o! to zaprawdę; człowiek przestaje wierzyć, żeby to czary mogły uczynić; wszyscy czarownicy świata na to by się nie zdobyli, jeden Bóg tylko może być tak Wszechmocnym.

I umilkł kapral, a zdziwieni wieśniacy, jeszcze nie śmieli przemówić słowa, nie chcąc przerywać tego pięknego opowiadania; ale stary kapral zadumał się, przypominając sobie te dziwy, wówczas jeden z wieśniaków zapytał mnie się, a inni z ciekawością nadstawili uszów:

"Czy to może być prawda proszę Wielmożnego pana."

,,Tak jest," odrzekłem; nie ma tu ani jednego słowa kłamstwa we wszystkiem tem co wam opowiedział stary kapral, nie dodał tylko nazwiska tego dziwnego zjawiska czyli widowiska; zjawisko to nazywa się Zorza północna; ażebyście zaś wiedzieli z czego ona powstaje, posłuchajcie uważnie: W powietrzu wodzie, ogniu, w kamieniu, zwierzętach, roślinach, w was samych, znajduje się pewna siła, której nie zobaczymy okiem, jak nie zobaczymy ciepła ani zimna, siła ta nazywa się elektryczność. Skutki jej są bardzo nieraz wielkie, a ponieważ nieraz o niej z wami mówić jeszcze będę, wiedzcie więc, że są sposoby jej wydobycia, a mianowicie przez tarcie dwóch przedmiotów; łatwo o tem się przekonacie, kiedy weźmiecie od swojej żony sznurek bursztynów, i potrzecie go o kawałek sukna, wówczas bursztyny te przyłóżcie do drobnych opiłków z drzewa, do duszy z pióra, a owe przyciągać je będą do siebie; otóż siła ta nazywa się elektryczność. Rozlana ona jest w całem powietrzu, oświeca go i widocznie przedstawia się naszym oczom, że zaś powietrze w krajach tak zimnych jak tamte, jest nadzwyczaj rzadkie, u nas zaś nierównie gęstsze, a oprócz tego inny jest do nas stósunek słońca, dla tego więc u nas zorza północna widzialna nie bywa, kiedy tam jest zwyczajnem zjawiskiem. Cuda te są sprawdzone przez uczonych ludzi, którzy przekonali się że elektryczność jest ich przyczyną, a to za pomocą małego narzędzia, nazwanego igłą magnesową, która ma tę własność, że osadzona na małym czopeczku, zawsze obraca się na północ; otóż narzędzie to dostatecznie wypróbowane, które nigdy nie zawodzi, w czasie zorzy północnej zbacza ze swego zwyczajnego kierunku, a przyczyną tego jest elektryczność która nań działa.

KONIEC.

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Południowcy pod jenerałem Taylor i Green usiłowali w tym samym czasie zająć różne twierdze na zachód dolnego Mississippi, w Louisianie położone, lecz zostali pobici przez jenerała Banks i jego oddziały. Banks widząc Konfederatów tam uskromnionych, postanowił wraz z Grantem zająć Mobile, lecz rząd rozporządził inaczej i wysłał go do Texas, aby stan ten odebrał Konfederatom. Czyniąc co mu kazano, udał się w drogę, poniósł atoli klęskę pod Sabine Pass i cofnął się do New Orleans. Inna wyprawa nie udała się także. Postanowiono więc wpaść do Texas ze strony południowej. W dniu 26 października wypłynęło 6000 ludzi pod jenerałem Dana na kilku okrętach wojennych z New Orleans i udało się do rzeki Rio Grande, południowej granicy pomiędzy Texas i Meksykiem, i wylądowało w Brownsville. W przeciągu miesiąca zajęto wszystkie porty i główniejsze miasta, a w końcu r. 1863 znajdowała się cała część Texasu na zachód rzeki Colorado położona w posiadaniu wojsk związkowych.

Nim postąpimy dalej w opowiadaniu dziejów wojny, rzućmy okiem na sprawy cywilne. Dług Stanów Zjednoczonych północnych wynosił już 1000 milionów dolarów i rósł z każdym dniem, lecz pomimo tego stał kredyt jego dobrze pomiędzy obywatelami kraju. Finanse Konfederacyi znajdowały się z początkiem r. 1864 w nader złym stanie. Kredytu nie było. Obligacye ich nie miały waloru. Władza w Richmond nie mając pieniędzy do najmowania żołnierzy, uchwaliła iż każdy biały człowiek zdolny do noszenia broni ma się stawić do wojska. Ktoby tego nie uczynił, zostanie uznany za zbiega i podlega karze śmierci. Pomimo przykrego położenia, postanowili naczelnicy buntu prowadzić wojnę dalej. Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych, aby ich bardziej jeszcze osłabić, wydał proklamacyę ogólnej amnestyi.

Na początku roku 1864 było pod bronią 800,000 żołnierza stanów północnych. Za dozwoleniem kongresu zamianował prezydent naczelnym dowódcą wszystkich sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych jenerała Ulysses S. Granta. Grant postanowił zakończyć wojnę jak najprędzej i urządził dwie wielkie ekspedycye, jedną przeciw. Richmondowi w Virginii, drugą przeciw Atlanta w Georgii. Pierwszą dowodził jenerał Meade, drugą jenerał W. T. Sherman.

Nim się zajmiemy opisem tych głównych wypraw, wróćmy się na chwilę do wypadków, które się wydarzyły na zachodzie.

Sherman dążąc Rosecranzowi na pomoc, pozostawił w Vicksburgu jen. McPherson. Ten udał się w październiku nad kolej pomiędzy Jackson i Canton, lecz znalazłszy tam o wiele silniejszy oddział nieprzyjacielski, wrócił się nie stoczywszy bitwy. Sherman po powrocie do Vicksburga, wyruszył na czele 23,000 ludzi w celu wypędzenia powstańców ze stanu Mississippi. Polk, dowódzca powstańców, cofnął się przed nim. W Meridian zatrzymał się Sherman, aby zaczekać na jen. Smith mającego przybyć z Tennessee, lecz Konfederaci pod Forrest'em zmusili tegoż do odwrotu. Sherman zaś wrócił do Vicksburga, spaliwszy poprzednio Meridian.

Konfederaci pod Forest'em urządzili tymczasem ekspedycyę, przebiegli przez Tennessee, Kentucky aż do Paducah w Ohio, tu zostali zmuszeni do odwrotu przez pułkownika Hicks; wraca-

jąc się zajęli Fort Pillow niedaleko Memphis. Przeciw Forrest'owi został wysłany jen. Sturgis z Memphis, lecz Forrest uderzył na niego pod Gun Town na Mobile i Ohio kolei i zadawszy mu wielką klęskę, zapędził go napowrót do Memphis. W dniu 14 lipca został pobity pod Tripolis przez jen. Smith, poczem ubiegł do Mississippi.

Na początku roku 1864 odebrał Banks rozkazy zajęcia stanu Texas. Pomagać mu mieli jen. Smith i jen. Steele i flota. Smith zajął w dniu 14 czerwca Fort de Runy a w dniu 16 marca miasto Aleksandria. Banks udał się w drogę ku Shreveport. Na drodze został (w dniu 8 kwietnia) napadnięty przez Konfederatów i pobity, lecz w pobliżu znajdujący się jen. Emory, pobił natomiast Konfederatów pod Pleasant Hill. W drugiej potyczce niedaleko tego samego miejsca zostali związkowcy znów zwyciężeni. Pomimo to postanowiono się wrócić do Grand Ecore nad rzeką Red River, zkąd cofnięto się do Aleksandryi, pobiwszy oddział Konfederatow pod Mountain Bluff. Nie pozostano i tutaj, lecz zwrócono się ku rzece Mississippi. Tymczasem objął jen. Canby dowództwo, Banks został posłany do New Orleans, a Smith nad Mississippi. Tak zakończyła się wyprawa do Texasu.

Na końcu września wtargnęli Konfederaci w 20,000 ludzi pod jen. Price i Shelby do Missouri, zostali atoli pobici przez jen. Ewing pod Pilot Knob, poczem Price uciekł do zachodniego Arkansas. W wschodniej części stanu Tennessee okazywały się też jeszcze pojedyńcze oddziały partyzanckie, które atoli wszystkie zostały zniesione.

Teraz wróćmy się do armii Potomac'u, pozostającej pod dowództwem jen. Meade. Armia ta została na nowo uorganizowana i podzielona na trzy korpusy: drugi, piąty i szósty pod jenerałami: Hancock, Warren i Sedgwick. Przeciwko nim stał czujny Lee. W dniu 5 i 6 maja stoczono bitwę w Wilderness, która nie została rozstrzygniętą. W dniu 10 tego miesiąca stoczono znów krwawą bitwę pod Spottsylvania Court House, gdzie każda strona poniosła niezmierne straty. W tym samym prawie miejscu stoczono bitwę w dniu 12 maja w której jen. Hancock zdołał przełamać szyki nieprzyjacielskie. W dniu 19 maja zawrzała bitwa na nowo, w której armia Granta odniosła wprawdzie zwycięztwo lecz poniosła wielkie straty. Od czasu kiedy armia północna przekroczyła rzekę Rapid Anna, utraciła 40,000 ludzi w rannych i zabitych, armia Konfederatów zaś 30,000.

Gdy armia Potomac'u wyszła z dziczyzny, podjął jenerał Sheridan wyprawę, podjechał ze swym oddziałem aż pod mury Richmondu, zabił Stuarta dzielnego jenerała powstańców, zniszczył koleje, doszedl do rzeki James i wrócił do głównej armii.

W tym samym czasie działał korpus pod jen. Sigel w Shenandoah i Kanawha dolinie, lecz doznał porażki. Hunter, następca Sigla, nie miał też lepszego szczęścia. Mając 20,000 ludzi udał się przed Lynchburg, lecz widząc że miasto to jest zbyt dobrze ufortyfikowane cofnął się do W. Virginii.

Jen. Butler na czele 25,000 ludzi, którzy płynęły rzeką James zajął tymczasem Powhetlon, Wilsons Landing i City Point. Na półwyspie Bernard a Hundred okopał się. Tu uderzył na niego jen. Beauregard. Bitwa została nieroztrzygniętą. Butler utracił 4000, a Beauregard 3000 ludzi.

Wojsko Granta stoczyło z południowcami znów bitwę w dniu 23 maja, lecz i ta nie przyniosła żadnej stronie korzyści. Podobnie szło w dniu 26 i 29 maja. Bitwę w większych rozmiarach stoczono w dniu 3 czerwca. 20 minut po jej rozpoczęciu, było już 10,000 żołnierzy Granta zabitych lub rannych. Lee uderzył na nich jeszcze następnej nocy; bitwa w ogóle trwała dwie noce i jeden dzień i zakończyła się porażką. Wszystkie te bitwy toczyły się w pobliżu rzeki Chickahominy.

Następnie przeniósł Grant swą główną kwaterę do City Point. Przez dwa dni usiłował zająć Petersburg, lecz straciwszy dużo ludzi, przekonał się, że tego nie dokaże i dla tego postanowił okrążyć prawe skrzydło Konfederatów. Kolumna która to miała uczynić, została wstrzymaną i pobitą przez jenerała Hill, którego znów pobił Meade. Nazajutrz zostali uniści powtórnie pobici pod Weldon. Przez dwa dni utracili 4000 ludzi. W tym samym czasie zniszczyli Welson i Kantz koleje aż do rzeki Stannton, lecz utracili armaty, tren i 1000 ludzi nim zdołali pówrócić do głównej armii. Przez operacye Butlera, Hancocka i Sheridana w pobliżu Richmondu, widział się Lee zmuszonym do cofnięcia większej części swej armii od południowego wybrzeża James rzeki. Z tego skorzystał Grant aby uderzyć na Petersburg; utraciwszy 4400 ludzi, musiał się powtórnie wyrzec swego zamiaru zabrania tego miasta.

W tym samym czasie wpadł jen. Early do stanu Maryland i zajął Hagerstown i Frederick. Jedyny jen. Wallace znajdował się wtenczas w Maryland i wprawdzie w Baltimore. Ten stanął naprzeciw Early'emu 8 czerwca 1864, został jednakowoż ze znaczną stratą pobity. Early usłyszawszy że do Wallace'a nadchodzą posiłki, zabrał łupu ile mógł i cofnął się do Virginii.

W 14 dni po uderzeniu na Petersburg, wysłał Grant ekspedycyę do Dee'a Bottom, która zagroziła Richmondowi. W bitwach w dniu 13 i 16 sierpnia nie uzyskali Konfederaci nic, wyjąwszy iż stanęli obecnie tak, iż jedno skrzydło mogło drugie popierać. Warren obsadził tymczasem z utratą 1000 ludzi Welson kolej (18 sierpnia). W dniu następnym uderzyli Konfederaci na niego, chcąc go ze stanowiska tego wyrugować, co

im się nie udało, pomimo iż wzięli w niewolę jenerała Hayes i 2500 ludzi. W dniu 21 sierpnia został pobity oddział Konfederatów, lecz wkrótce potem doznał porażki jen. Hancock, przyczem utracił 2400 ludzi i 5 armat.

Przez cały prawie miesiąc nie zaszło nic nowego, poczem armia Granta uderzyła na prawe i lewe skrzydło Konfederatów. Nie skutkowało to wiele, lecz natomiast zajął jen. Butler w dniu 29 września warownię Fort Harrison i 15 armat. W kilka dni potem przy szturmie na inną warownię zostali uniści porażeni i jen. Burntram zabity. I znowu nie robiono nic przez cały miesiąc. W dniu 27 października uderzyli Uniści na okopy powstańców pod Hutchers Run, poniósłszy klęskę, cofnęli się po za własne szańce. Od tego czasu aż do wiosny, nie wydarzyło się przed Richmondem i Petersburgiem nic nowego. Armia Granta utraciła od 5 maja do 1 listopada 88,000 ludzi.

W Shenandoah dolinie pobił tymczasem Averill Konfederatów w pobliżu Winchester w dniu 20 lipca; natomiast doznał od nich klęski jen. Crook. Do doliny tej został posłany jen. Sheridan, który mając 30,000 ludzi zaczepił Early'ego i pobił go kilka razy. Early zajął potem mocne stanowisko pod Fisher Hill w pobliżu Strassburga. W dniu 21 września został z wielką stratą ze stanowiska swego wypędzony, poczem uciekł w góry. Sheridan cofnął się do Cedar Creck. W październiku wrócił Early i rzucił się na Unistów i byłby ich prawie zniszczył. Ci cofnęli się do Middletown, lecz tu zwrócili się pod jen. Wright przeciw Konfederatom. W tej chwili nadbiegł jen. Sheridan z Winchester; rozpoczęła się zacięta bitwa, którą przegrał Early. Na tem zakończyła się faktycznie wojna w tej okolicy, gdyż Early nie miał już armii a Lee nie mógł mu żadnych posiłków posłać, gdyż sam już nie posiadał wiele wojska.

ROZDZIAŁ XVII.

Wojna domowa (1861 — 1865).

Podczas gdy to się działo w Virginii i sąsiednich stanach, wyruszył jen. Sherman zamianowany główno-dowodzącym w Georgii, z pod Chattanooga, Tenn., na czele sto tysięcy ludzi prawie; jen. Johnston, dowodzący Konfederatami leżał w pobliżu Dalton, w nader silnie zabezpieczonej okolicy na czele 55,000 ludzi. Widząc jednakże, że opór byłby bezskutecznym, rozpoczął odwrót, przyczem jeden z jego oddziałów został pobity w dniu 15 maja pod Resaca Station. Bitwa stoczona w dniu 25 maja pomiędzy Dallas i Mariette została nierozstrzygniętą, poczem Johnston okopał się w wąwozie Allantoona, zkąd został wyparty w dniu 1 czerwca.

W dniu 15 czerwca został także zmuszony do opuszczenia Pine Mountain, tak samo wyparto go w dwa dni później z Lout Mountain, Sherman parł Johnstona coraz dalej a w dniu 3 lipca po niezmiernych stratach z obydwóch stron, powiewała chorągiew narodowa nad górą Kenasaw; w dniu następnym wkroczył Sherman do Mariette. W dniu 10 lipca 1864 okopał się Johnston w pobliżu Atlanta, lecz został wkrótce zastąpiony przez jen. Hood, który mając dowództwo nad armią 50 tysięczną postanowił wytrwać na miejscu.

W dniu 20 lipca uderzył na oddziały jenerała Howard'a, Hooker'a i Palmer'a lecz został odparty utraciwszy 5,000 ludzi; armie północne utraciły 1,500 w zabitych i rannych. W dniu 22 lipca spostrzegł Sherman, iż Konfederaci cofają się i sądził, że chcą opuścić Atlanta; dla tego puścił się w pogoń, lecz znalazł ich w okopach w pobliżu miasta, poczem nastała bitwa w której Konfederaci utracili niektóre stanowiska, lecz ze strony Shermana poległ jen. McPherson, który niespodziewając się niczego, udał się sam do lasu, gdzie przez południowców został zabity; jego miejsce objął Logan. Po kilkagodzinnym odpoczynku, rozpoczęła się bitwa na nowo, lecz z powtórną stratą dla południowców, którzy zostali zmuszeni cofnąć się po za okopy. Hood po kilku innych potyczkach, które wypadły na niekorzyść jego armii, cofnął się nareszcie z Atlanta, wysadziwszy w powietrze wszystkie arsenały, składy itd., tak iż Sherman zająwszy miasto to, nie znalazł nawet dość żywności dla tamtejszej ludności, z którego to powodu kazał jej opuścić to miasto i udać się na południe lub północ. Zatrzymał się na kilka dni w Atlanta, w którym to czasie Hood okrążył jego armię zamierzając wpaść do Tennessee. Sherman poznawszy jego zamiary, posłał jenerała Thomas do Nashville, pozostawił jen Slocum w Atlanta, a sam udał się do wąwozu Allatoona, gdzie pobiwszy południowców i przeciąwszy wszystkie komunikacye, rozpoczął swój słynny wymarsz do morza, (11 listopada,) mając 65,000 żołnierzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).